XIII Kraków, 15. czerwca 1910. Nr. 12.

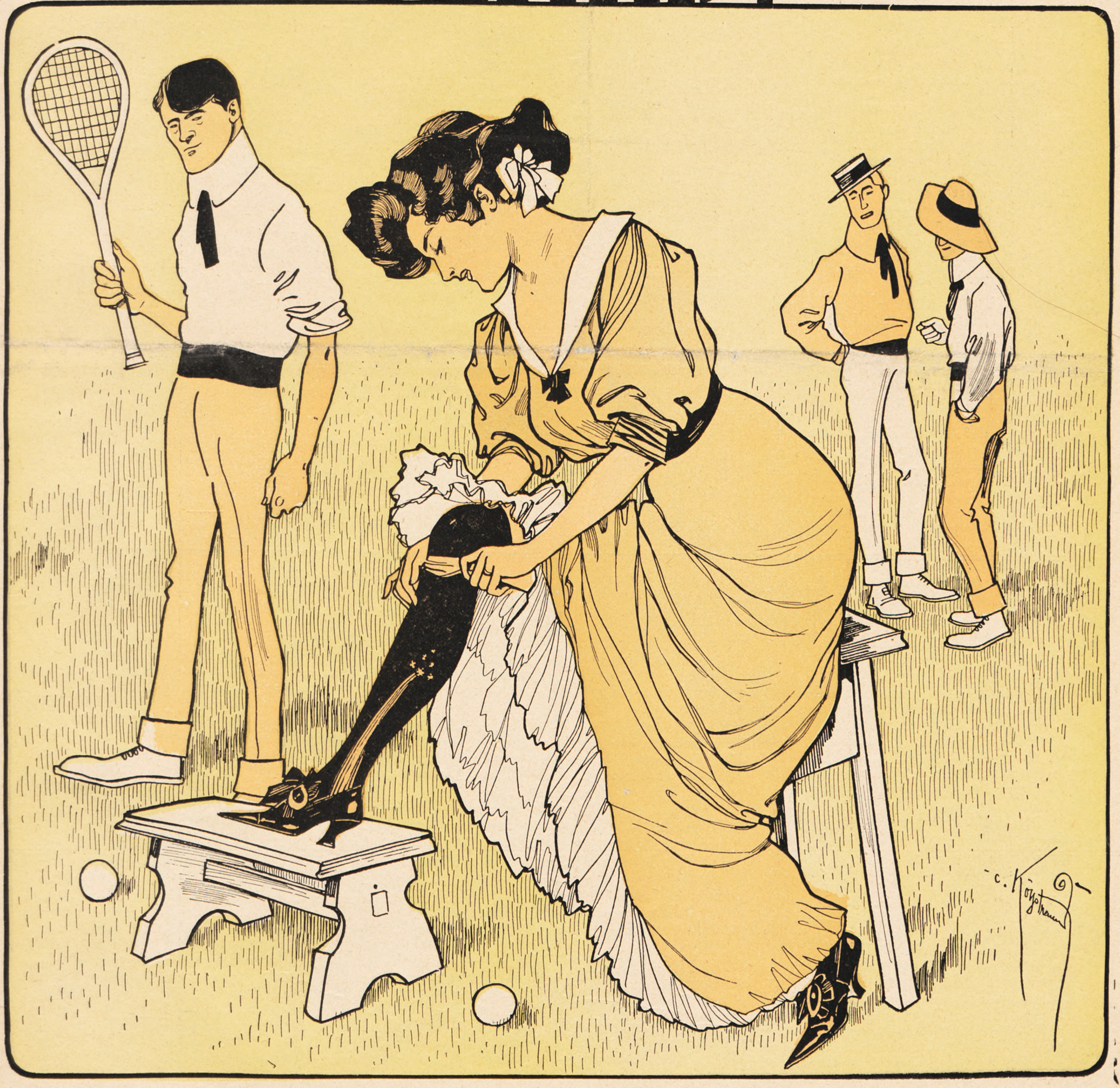
„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przesyłką pocztową 2. korony 2 marki 25 fen., 1 rbs. 25 kop.

Adres Redakcyi i Administracyi: KRAKÓW, Zacisze 7. Telefon Nr. 479.
W Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem:
Biuro G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

TENNIS.



— Niech pani pozwoli — może ja zawiążę, a wtedy ręczę, że nie prędko zleci!...
— Dziękuję... ale boję się, że wtedy nie dałoby się już zdjąć bez pozostawięnia znaku...



Z TAJEMMIC ZAMKU.

Pewien pałac, w tym pałacu
Jest hrabina, wdowa brzydka
Żyje zaś w odosobnieniu
Niczem jaka eremitka.

Nikt w pałacu tym nie bywa,
I nikogo niema przy niej,
Tylko jeden kamerdyner,
Co posługi w domu czyni.

Pięć lat mija, jak się skryła
W pamiątkowe te ustronia,
Gdzie dostojny jej małżonek
Kark hrabiowski skręcił z konia.

Pięć lat mija, jak przeciętą
Była życia jego przędza,
Bo niestety! śmierć zawistna,
Nawet hrabiów nie oszczędza!

Pięć lat w żalu pogrążona
Duchem zwolna obumiera
I nikogo biedna niema!...
O! tak!... prócz kamerdynera!...

Kamerdyner smutnej wdowy
Ma ją w czułej swojej pieczy —
Co hrabina tylko powie,
On — z zasady jej nie przeczy!

Lecz raz tylko się pomylił,
Było to wśród ostrej zimy...
— Jak tu chłodno w naszym zamku!
On rzekł: „Zaraz napalimy“.

To strach! — skarży się hrabina
Jaki idzie chłód z podłogi
Tak dalece, że mam w łóżku
Pod pierzyną zimne nogi!

— Co? — zawołał zdumion sługa
I o krok się cofnął tyłem
Zimne nogi?!... słowo daję,
Że ja nie zauważyłem!... —

Czy zrozumie.

Pokojówka: Proszę pani radczyni, był tu pan praktykant ze sądu i pytał się o zdrowie pani radczyni!...
Pani radczyni: I cóżeś mu powiedziała?...
Pokojówka: Że pani radczyni ma straszny katar kiszek, ale że już jest lepiej, o wiele lepiej!...
Pani radczyni: Głupiaś! Pocóż to mówiłaś, kiedy to nieprawda!...
Pokojówka: E! Proszę łaski pani, albo by to taki młody zrozumiał, jakbym mu powiedziała, że wielmożna pani jest po dziecku?!...

Szczęście rodzinne.

Dyrektor zakładu karnego w Wiśniczu wypuszcza na wolność jednego ze swych wychowanków po odbyciu kary.

— No! dobrzeście się sprawowali przez cały ten czas, zarobiliście trochę grosza, więc poprawcie się i wracajcie do rodziny — mówi dyrektor — a wieleż macie dzieci?

— Albo ja wiem, ile tam będzie — proszę pana dyrektura — odpowiada zapytany, drapiąc się wgłowę — toż ja przecie siedm lat siedziałem w kryminale!...

Pozrastane siostry.

Siostry Błażek, tak zwane syamskie siostry, prawdopodobnie dlatego, iż urodziły się w Czechach, gdzie lew ma podwójny ogon) są obecnie na ustach wszystkich. Jedna z nich jest szczęśliwą matką, druga niestety tylko ciotką, choć podobno obie na przemiany mogą dziecko karmić. Gdy ciotkę pytano, czy zadowoloną jest z tego, że siostra jej została matką, odparła:

— Hm! trudna rada! Przecież z powodu takiej drobnostki nie rozłączymy się ze sobą!

Jedno z pism wiedeńskich, dające sprawozdanie z występu sióstr w zakładzie Ronachera, rozpisując się szeroko nad całą sprawą, podaje dokładny rysopis obu sióstr i dziecka i kończy:

„Atrakcyą programu jest występ sióstr Błażek i ich dziecka. Ponieważ całą zasługę, iż doszło to do skutku, przypisać należy kierownikowi artystycznemu zakładu, nie mamy dlań dość słów podzięki...“

Trochę dwuznaczne, jednak zrozumiałe!



Na placu wyścigowym.

Dama: No! Przy biegu trzylatków i dwulatków miałam szalony pech! Obecnie muszę się chyba wziąć do jednorocznych... Może lepiej pójdzie...

Słuszna uwaga.

Pan Zet przychodzi do jednej z tutejszych drukarni i witając się z zarządzającym zakładem, mówi:

— Możebyście panowie wydrukowali mi jakie 50 plakatów, bo mi teściowa umarła!...

— Pięćdziesiąt? — odpowiada dyrektor — może już lepiej całą setkę, bo taka przyjemność to się tylko raz w życiu trafia!...

KATASTROFA DOMOWA.

— Gdzież tak pilno profesorze?
Wszak to jeszcze wczesna pora?! —
— Ach! na Boga! nie zatrzymuj!
Lecę, pędzę do doktora!

— Ale przecież! Cóż się stało? —
Znów przyjaciel się zapyta.
— Ot! nieszczęście — rzekł profesor
To tragedya całkowita!

Pan znasz rozkład mego domu,
Wiesz, gdzie łóżko mojej żony.
Otóż panie, nad jej łóżkiem
Jest tam obraz zawieszony.

Dzisiaj w nocy — któżby myślał?
Punktum o godzinie trzeciej
Z hukiem, trzaskiem, jak sto dyabłów
Obraz, panie, na nią leci!...

— Zabił ją! — przyjaciel krzyknął
Zabił ją, a żyła wczora!...
— Nie! — rzekł stary — lecz skaleczył
W plecy — mego lokatora!...

Odpowiedź Redakcyi.

Na liczne zapytania, jakie otrzymaliśmy ze strony P. T. Czytelników co do spodziewanych skutków przejścia przez ziemię ogona komety, donosimy uprzejmie, iż obecne twierdzenia Łyłyby przedwczesne, wobec bowiem okoliczności, że w krytycznym czasie wiele par wybrało się na Błonia i Sikornik, właściwych skutków oczekiwać należy dopiero mniej więcej po dziewięciu miesiącach.

Zegar do mierzenia kroków.

Humoreska.

I.

Pan Jagniętowski z Zatraconej Wólki był wybornym okazem wiejskiego szlachciury. Niezgrabny i silny jak niedźwiedź z twarzą spaloną na burakowy kolor, z konopiastymi wąsami w dół zwisłymi, w wysokich palonych butach, był w ustawicznym ruchu. Pieszo i konno włóczył się po obszernej swej majętności, nie w celu doglądania dobytku i ludzi, ale „bo to zdrowo“, jak mawiał.

Zdrowie było jedynym celem jego życia, a jedynym środkiem do osiągnięcia zdrowia — ruch.

Żona była jego żywym kontrastem. Smukła, delikatna, trochę nerwowa, trochę niedokrewna z błękitnemi oczyma i liliową cerą, nudziła się śmiertelnie przy boku swego męża. Źle mówimy „przy boku“, gdyż nie miała nigdy w pobliżu siebie męża, który nawet wolał spać w kancelaryi, niż w małżeńskiej alkowie — „bo to zdrowo“.

Pani Jagniętowska patrząc na okazałe bary i plecy swego małżonka, wzdychała nieraz po cichu. Musiała bowiem przyznać, że człowiek tak zbudowany i zakonserwowany, posiadał mimo swojej pięćdziesiątki — niezłe jeszcze warunki na sprawnego męża. Pani Zenobia nie kochała wprawdzie, jakkolwiekbądź jednak wyszedłszy za niego miała prawo do pewnych względów, którymi niewyrozumiały ten człowiek zbyt hojnie szafował po folwarkach swoich i ekonomiach, by dla zaniedbywanej żony mogło coś jeszcze pozostać.

Za to Kasie, Marysie i Hanki w Zatraconej Wólce nie mogły się odchwalić „dziedzica“, co to i popieści po kawalersku i pieniędzy nie żałuje. Taka to już była natura pana Jagniętowskiego, że gdy jedną ręką pogłaskał pod brodę lub uszczypnął jędrne ramię wiejskiej dziewuchy, to w drugiej trzymał z pewnością srebrnego guldena, by go w stosownej chwili wrzucić jej za gorset, a był taki ludzki, że potem sam pomagał w wydobywaniu go dziewczynie.

Pani nie wiedziała nic o tem, a była zanadto naiwną, by wpaść na tak łatwy zresztą domysł. Była zarazem zbyt uczciwą, by chociażby w duchu zgrzeszyć przeciw wierności małżeńskiej i pomyśleć i dla siebie o jakiejś rekompensacie.

Pan Jagniętowski prócz zdrowotnego ruchu i wiejskich dziewcząt, miał jeszcze jedną pasyę. Był gościnnym i kogo mógł zapraszał do siebie na wieś.

Przyjechawszy do Krakowa, co regularnie raz w miesiącu miało miejsce — zapraszał na prawo i na lewo swoich znajomych.

— Mój kochany! Miałeś być w zeszłym tygodniu u mnie na polowaniu! Ręczę ci, że nie byłbyś żałował!

— Mj kochany! W sobotę znowu polujemy!... to bardzo zdrowo! Nie zapomnij że o nas!...

— Wstydź się, kolego! Tyle razy obiecywałeś mi, że mnie odwiedzisz w mojej pustelni — i nic!... A żałuj... mam wybornego kucharza, a dziewuchy na wsi — powiadam ci, krew z mlekiem!... To bardzo zdrowo!...

Wszyscy znali tę manię „dziedzica“, jak go żartobliwie u Hawełki i Bisanca zwano — śmiano się z niego, ale na polowanie, ani do dziewcząt w Zatraconej Wólce nikt jakoś się nie kwapił.

Pewnego razu złapał pan Jagniętowski w mieście dalekiego swego kuzyna — pana Adolfa i wpadł na niego, jak jastrząb na upatrzoną ofiarę.

— Adolfie, to jest z twojej strony brzydko, a nawet nieładnie! — wołał na cały głos na A—B, aż ludzie stawali, a zażenowany pan Adolf nie wiedział, co ma robić, czy słuchać krzykliwego swego kuzyna, czy ratować guzik od kamizelki, za który sięgnął i szarpał pan Jagniętowski.

— To jest po prostu świństwo! — huczał szlachcic mu nad głową. — Jesteś jedynym krewnym, jakiego mamy w Krakowie, chcielibyśmy się też kiedy na wsi z tobą pokazać... Daj mi słowo, że najbliższej niedzieli przyjedziesz do nas!... Ale *a pros pos*!... Wspominałem o tobie córce sołtysa...

— Jakiego sołtysa? — zapytał pan Adolf.

— No sołtysa u mnie w Zatraconej Wólce!... Zdrowa dziewucha! Ale prawda, ty jej nie znasz! Ale to nic nie szkodzi! Przyjedziesz to poznasz!

Pan Adolf słyszał takie zaprosiny kilka razy do roku. Chcąc się odczepić od krzykliwego kuzyna dawał zawsze uroczyście słowo, że przyjedzie, i — nie ruszał się z Krakowa. Bo i po co? Coby on, mieszczanin z krwi i kości miał do roboty na wsi? Pan Jagniętowski nie puściłby go tak prędko i pan Adolf musiałby się obywać przez szereg dni może i tygodni bez teatru, bez kawiarni, bez swej słodkiej Salci trafikantki!... Nie, to nie możliwe!

Tym razem — o dziwo! — pan Adolf przyrzekł i... dotrzymał!

Co było powodem jego słowności? Powodem była żona starego szlachcica pani Bella Jagniętowska, jej niebieskie oczy i tak wiele obiecująca bladość jej cery!...

* * *

Nowe napisy.

Dziś, gdy na całym świecie dąży się do tego, aby ułatwić każdemu oryentowanie się w większych miastach i Kraków nie pozostał w tyle, ale postarał się o piękne tablice, które umieszczono w odpowiednich miejscach:

W podziemiach Sukiennic: Zanieczyszczanie tego miejsca pod karą zakazuje się.

W mieszkaniu kokotki: Pieniądze należy mieć pod ręką.

W tramwaju: Czas to pieniądz! Jeśli ci się spieszy, idź piechotą.

Na mieszkaniach wyborców: Kandydatom i domokrążcom wstęp wzbroniony.

Na wodociągu: Woda szkodzi zdrowiu! Pij piwo lub wino, bo na Bielanach mało jest wody!

Na rogach ulic, nie mających porządnych chodników: Największym wynalazkiem XX. stulecia jest znakomity plaster na nagniotki.

W gabinecie pana prezydenta: W podróż nie zabieraj ze sobą nigdy torby, jeśli chcesz mieć spokój, bo złodzieje lekceważą sobie nawet ekscellencyę, cóż dopiero kandydatów na nich!

Siła przyzwyczajenia.

Pan Orangsaft siada na kapeluszu swego buchaltera, który leżał na kanapce i zaczyna się irytować:

— Panie Grupełes! czy pan zawsze poczebuje chodżycz w twardy kapelusz?!...

— Psiepraszam pana princypałego! — usprawiedliwia się biedny buchalter — ali przeci pan princypał nie poczebował sobi skaliczycz?!...



DUCHY PUKAJĄCE.

— Czy są duchy, czy ich nie ma? —
Kwestya ściśle naukowa,
W której wiedza nie wyrzekła
Ostatniego swego słowa.

Rozwiązała te pytania
Na seansie jedna dama,
Przytaczając z tej dziedziny
Fakt, co miała stwierdzić sama.

I tak mówi: „Pozwolicie,
Że i ja tu słowo wtrące!
Wierzę w duchy absolutnie
Zwłaszcza w duchy — pukające!

Leżę ja raz wieczór w łóżku
(To pozycya bardzo miła) —
Puka coś — jam naturalnie
Drzwi mu zaraz otworzyła.

— Hm! to drzwiami duchy wchodzą?
Spytał ktoś — rzecz niesłychana!.
I cóż dalej?!... — Nic! już został
I dopiero wyszedł zrana!

Lecz już zamilczała o tem,
Że na nocy tej pamiątkę
Duch poczciwy pozostawił
Na stoliku jej — dziesiątkę!...

Na ulicy.

— Mój panie! co to znaczy? — ja jestem szwaczką, ale przytem uczciwą dziewczyną!...

— Ja to wiem proszę pani...

— I uczciwą chcę zostać dalej!..

— A! o to, to już pani nie posądzałem!...

Za kulisami.

— Wiesz Mańka! Dyrektorowa wyjeżdża na kilka miesięcy za granicę!

— Dzięki Bogu! Będziemy mogły spodziewać się podwyższenia gaży!



U lekarza.

— Panie Pomeranz — mówi lekarz do swojego pacyenta — to jest bardzo poważna choroba! Pan musisz koniecznie wyjechać do kąpiel!..

— Ny! panie konsyliarze — odpowiada Pomeranz, drapiąc się w pejsy — wyjechacz do kąpielów, to ja mogę, tilko niech mnie pan tam nie każe sobi kąpacz!...

Nasze dzieci.

— Słuchaj Stefka — mówi mały Jaś do siostrzyczki — czy ty wiesz, że mama chce wziąć z tatusiem lozwód?...

— Głupiś! — odpowiada z dumą Stefcia — naturalnie, że wiem! Psecie to ja sama doladzilam mamie!...

Ach, te podlotki.

Czternastoletnia Mania była raz w teatrze. Na drugi dzień ciotka pyta ją, czy się dobrze bawiła i jak się jej sztuka podobała.

— Ach, cudownie! woła zachwycony dzieciak — niech sobie tylko ciocia wyobrazi! W tej sztuce każda mężatka ma aż dwóch kochanków!...

Nasze pokojówki.

Kasia, stylowa pokojóweczka, przyłapuje swoją panią na czułem *tête à tête* z przyjacielem serdecznym jej męża, a widząc pomieszanie swej służbodawczyni, odzywa się uspokająco:

— Niech się wielmożna pani nie boi, ja panu nic nie powiem, bo się z nim gniewan od wczoraj!...

II.

Za przybyciem Adolfa doznał pan Jagniętowski niekłamanej radości. Była to radość pająka, w którego siatkę wpadła mucha. To też na wzór pająka omotał go siecią — uprzejmości, gościnności i przyjaźni.

Piękna kuzynka przyjęła go wprawdzie bez wybuchów, z pewną rezerwą, za to jej spojrzenie dawało mu wiele do zrozumienia.

Z najpiękniejszemi nadziejami usnął pan Adolf w gościnnym pokoju państwa Jagniętowskich.

Aliści o 9 godzinie zrana zahuczało mu coś nad uszyma:

— Wstawaj leniuchu! Nie przyjeżdża się na wieś po to, by spać w biały dzień!... Pytano się już o ciebie!...

Pan Adolf otworzył jedno oko.

— Wiem już!... zapewne córka sołtysa?

— Nie mój kochany — moja żona!... Czas na śniadanie! Przedtem jednak zrobisz maleńki spacer do lasu, nie cała milka!...

— Jakto? na czczo? — jęknął z pod kołdry pan Adolf.

— Tak!... To bardzo zdrowo!... Zrobisz mi jednak tą przyjemność, że weźmiesz do kieszeni o — to!...

— Cóż to jest? — bąkał zaspany gość przypatrując się rodzajowi zegarka, który stary kuzyn wciskał mu w rękę.

— To jest przyrząd do liczenia kroków.

— Czyich kroków?

— No twoich, tego wogóle, kto go ma w kieszeni. Nieoceniony przyrząd ten powie ci zawsze wieczór, czy dosyć w dzień chodziłeś!

Pan Adolf zaczął się ubierać.

— Widzisz tą wskazówkę? — objaśniał gospodarz. — Pokazuje ona, ile kroków zrobiłeś. Każdy ruch ciała, jakikolwiekby on nie był, znaczy ten mały sztyfcik.

— Naprawdę? Każdy ruch bezwzględnie? ruch każdego rodzaju?

— Tak!... Pojmujesz teraz. Skoro każdy krok powoduje wstrząśnienie ciała...

— Pojmuję! to bardzo jasne!

— Dobrze!... Po obiedzie skontroluję ile kroków zrobiłeś! Obecnie spieszę do miasteczka, mam tam w starostwie interes. Dalej więc! ubieraj się i na spacer. Potem na śniadanie do dworu. Żona moja cię czeka! Ja teraz jadę do starostwa!

Szczęśliwej drogi!

— Nie zapomnij krokomierza, a biada ci, gdybyś...

Pan Adolf wypełnił skrupulatnie polecenie starszego kuzyna, ale w drugiej części, to znaczy skwitował z przechadzki, a poszedł do pani Jagniętowskiej na śniadanie. Nie opuścił jej ani na chwilę. Nie opuszczał jej tak dalece, że około 4 godziny był z nią sam na sam w buduarze.

Miłe *tête-à-tête* przerwane nagle zostało turkotem zajeżdżającego przed dwór powozu.

— Ach!... gdyby to był mój mąż... — zawołała pani Jagniętowska.

— Tak, to on! — potwierdził pan Adolf znalazłszy się jednym susem przy oknie.

— Miał przecież dopiero o szóstej wrócić... Ale Adolfie! zimnej krwi!...

Wyszli pospiesznie z buduaru, by powitać na schodach wchodzącego gospodarza.

Pan Jagniętowski szedł prosto na pana Adolfa, który był przekonany, że szlachcic wie o wszystkiem i zażąda porachunku.

Tymczasem gospodarz sięgnął błyskawicznym ruchem do kieszeni jego marynarki i wydobył z niej zegarek do mierzenia kroków, o którym Adolf zupełnie zapomniał, który jednak funkcyonował zupełnie poprawnie, chociaż w innych okolicznościach, niż to pan Jagniętowski przypuszczał.

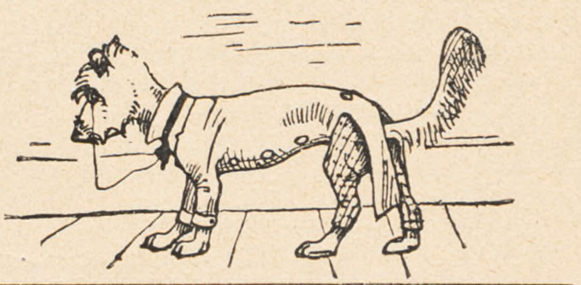
— Zobaczymy, czy na dobre użyłeś dnia dzisiejszego! — rzekł szlachcic.

— Ależ...

— O! do dyabła! zapoznałem twe siły! — zaśmiał się jowialnie stary. — Jak na początek wykonywałeś dzielnie ruch swój przyjacielu! Wskazówka opisała kilka razy obwód cyferblatu! Winszuję! winszuję! Sześć kilometrów!... To bardzo zdrowo!... Zrobimy jeszcze coś z ciebie! Tylko musisz i jutro z tąsamą pilnością zabrać się do rzeczy!

— Dobrze, kochany kuzynie! — odparł pan Adolf skromnie — zrobię tak, jeżeli sobie tego życzysz! Możesz zupełnie polegać na mnie!...

— Rób tak codziennie, a nawet w każdy dzień przyczyniaj sobie trudu — zachęcał serdecznie pan Jagniętowski — bo to zdrowo, bardzo zdrowo!...





Bezwodna, a jednak mokra historya.

z własnych wspomnień spisał
Pragnący.

Po strasznem owem spotkaniu, jakie miałem w nocy z 18 na 19 maja na Błoniach krakowskich z ową rodzoną teściową, rzecz prosta nie pokazałem się z domu przez cały tydzień. bojąc się, by przypadkiem niewiasty nie postawiły mnie przed sąd wojenny, gdyż życie jest mi jeszcze miłe, a areopag domowy ma tę jeszcze wyższość nad zwykłym „Kriegsrechtem“, że wyrok jego nie potrzebuje żadnego zatwierdzenia.

Zawiadomiłem więc żonę, że w sprawach nader ważnych musiałem wyjechać do Londynu, gdyż król Edward zapisał mi dwa tuziny krawatek i popielaty cylinder i dwie pary jasnych spodni, postawił jednak, jako *conditio, sine qua non* wejścia w posiadanie spadku, że sam osobiście mam się stawić w pałacu Buckinghana i przymierzyć, czy będzie mi w nich do twarzy.

Dzień jeden przesiedziałem w Redakcyi, drugiego zaczęła mnie już szarpać tęsknota za domowem ogniskiem. Nie mogąc sobie znaleźć miejsca kręciłem się z kąta w kąt, zaczepiając każdą spotkaną niewiastę, nawet nakładaczki z drukarni, z których jedna o mały figiel nie zabawiła się w biskupa, udzielającego bierzmowania. Nareszcie postanowiłem zebrać się na odwagę i odwiedzić domowe progi, by chociaż oczy nasycić widokiem tych sympatycznych śmieci, których służąca nigdy z pod łóżka nie wymiata. Wybrałem taką chwilę, w której wiedziałem, że żona jest u przyjaciółki, aby się dowiedzieć, co zaszło nowego w całej dzielnicy.

Tylnymi schodami dostałem się do kuchni. Gdym próg przestąpił takie rozrzewnienie obezwładniło wszystkie moje członki, że wybuchnąłem długo tajonym płaczem i rzuciłem się na szyję poczciwej Kasi, która właśnie czyściła rondle po wczorajszym obiedzie.

— Ta co pan robi! — zawołała poczciwa dziewczyna. — Jeszcze kto zobaczy! Niech pan przynajmniej zamknie drzwi na zasówkę!

— Aniołku! Nie dziw się! — wyjąkałem wśród łez, ściskając ją coraz silniej — ale ja tak stęskniłem się za wami! Co tu słychać...

— Ano nic! Pani pedziała, co pan pojechał do Hameryki po calander, w którym będziemy potem chować jajka...

— A cóż starsza pani?

— A nic! Od kilku dni chodzi ino z kąta w kąt, a tak wzdycha i oczami przewraca, że pani się jej pytała, czy nie przynieść z japtyki gorzkiej wody. Ale ona chycała się ino za serce i siadła na kanapie, a ciągiem gada do siebie: Ach ten Halley! Takiego ogona nie widziałam jeszcze w życiu! Ach biedna ty moja córko!

— U! źle! — pomyślałem sobie — i tak Kasię ścisnąłem, że aż coś tam trzasło.

W tej jednak chwili otwarły się drzwi, a w nich stanęła w całej pełni moja zacna i poczciwa teściowa, bledsza jednak, niż zwykle... Rzuciła okiem dokoła i głosem, niczem zepsuty gramofon, rzuciła mi pytanie:

— Tak! To pan w ten sposób kalasz świętość domowego ogniska, że pozwalasz sobie na ściskanie jakiegoś tam wiejskiego szturmaka!? A ja nieszczęśliwa powierzyłam ci córkę! Boże! Ty widzisz i nie grzmisz? Proszę ze mną do pokoju!...

Jak delikwent, którego za chwilę mają powiesić, podążyłem za nią, spodziewając się, co mnie tam czeka.

— Więc to tak! — zauważyła siadając na kanapie i wskazując mi miejsce koło siebie, co mnie nader zdziwiło. — Więc pan nie tylko, że zaniedbujesz żonę, zaczepiasz na Błoniach cnotliwe niewiasty, jeszcze dybiesz na niewinność służącej, której ona przez lat czterdzieści tak strzegła, że nawet kanonier jej nie zdobył? I pan się nie wstydzisz? — tu ton jej słów stał się nagle jakiś miękki i uczuciowy. — I pan miałeś sumienie zostawić mnie wtedy samą na Błoniach i to w chwili, gdy spodziewałam się, iż przypomnę sobie młode lata?... Panie, to było postępowanie niegodne uczciwego mężczyzny!

— Kiedy, bo ja byłem pewny, że to kto inny!— wyjąkałem.

— Ha! Więc dla innej miałbyś choć kapkę uczucia. a dla teściowej nic!... Oh! a ja łudziłam się... Boże... mdleję... wody!.. — i całym ogromem cielska przewaliła się na mnie.

Chwila minęła, nim zdołałem się wydobyć z pod tego niemiłego ciężaru, skoczyłem do kuchni do wodociągu, kręcę kurek w prawo w lewo... nic!

— E... panie! Szkoda trudu! Choćby pan kręciuł do jutra, to nie siknie! — robi uwagę Kasia.— Już od wczoraj niema wody w rułach!

— Psiakrew! — zakląłem jak dragon — i zabrałem się do odwrotu. — Nuż stara przyjdzie do siebie! A to miałbym się z pyszna! Kasia pędź prędko do apteki i kup flaszkę gorzkiej wody, może to pani dobrze zrobi...

Kasia wyszła, ja pozostałem jeszcze w domu, serce bowiem nie pozwoliło mi opuszczać teściowej dopóki Kasia nie powróci... Bałem się jednak, by żona mnie tu nie spotkała, łatwo bowiem mogłoby przyjść do awantury.

Kto jak kto, ale ja mogę się poszczycić, że mam pecha, jak rzadko kto. Bo proszę sobie tylko wyobrazić, właśnie zaglądałem do pokoju, by się przekonać, czy stara jeszcze żyje, gdy wtem otwarły się drzwi i weszła moja połowica.

Ujrzawszy matkę leżącą na kanapie, skoczyła ku mnie, jak zraniona lwica i z krzykiem:

— Morderco! Zabiłeś mi matkę! — i padła zemdlona.

Na stuk upadającego ciała zerwała się teściowa na równe nogi, a gdy oczy jej spoczęły na nieprzytomnej córce, bolesny ryk rozdarł powietrze.

— Ach! Złoczyńco! Zamordowałeś mą córkę!— poczem zemdlała po raz drugi...

. . . .

Co ja pocznę nieszczęśliwy! — pomyślałem sobie. Kasia nie wraca, bodajby choć kroplę gorzkiej wody wziąć do ust, bo dalibóg i ja zwaryuję... Częściowo gryzły mnie i wyrzuty sumienia, boć właśnie ja sam byłem przyczyną ich omdlenia... By nie patrzyć na nieprzytomne wyszedłem zwolna do sieni i tu oczy moje padły na balię pełną wody, którą przygotowali sobie sąsiedzi na cały dzień.

— Ha! Wy używacie, a ja ginę z pragnienia!— pomyślałem. Zemszczę się na was jaszczurcze plemię! Nie będziecie i wy pić wody, gdy wargi me pali pragnienie! Zginę, ale zginę taką śmiercią, jukiej mi dziś każdy milioner pozazdrości!...

Jak pomyślałem, tak zrobiłem... Jednym susem znalazłem się przy wannie, poczem rzuciłem się w jej nurty i za chwilę utonąłem!...

Tak, to była śmierć godna milionera!...

U POŚREDNIKA.

Do szadchena — w interesie
Ożenienia przyszedł Josek,
Miał dwie nóżki w „O“ wygięte
I garbaty śliczny nosek.

— Mam ja cymes fajn panienkę! —
Mówi swat cmokając mile,
Ale Josek mu przerywa:
— Nu, panienka ta ma ile?!“

— Ile, czego? Mów wyraźnie!
Jest punkt jeden, drugi, trzeci
Odparł szadchen — ile czego?
Lat, posagu, czy też... dzieci?!...





Nic nie stracił.

Bankier Arschputzberg przychodzi pewnego razu do domu dość późnym wieczorem z obywatelskiego kasyna i wszedłszy do swojego gabinetu, słyszy w buduarze żony jakieś głosy i szmery.

Skrada się więc na palcach, zagląda przez portyerę i cóż widzi?

Oto jego buchalter ściska się i całuje w jak najlepsze z jego „rodzoną“ żoną.

Pan Arschputzberg nie powiedział ani słowa, cały ból zamknął w sobie, ale na pierwszego przy wypłacie pensyi, odciągnął panu buchalterowi dwadzieścia koron z gaży.

— Co to jest panie pryncypale? — pyta buchalter — pan mi odciąga dwadzieścia koron, a czy wolno wiedzieć za co?...

— Nie — odpowiada pan Arschputzberg — już ja wiem za co, a pan przypomnij sobie tylko, co raz było, to będziesz wiedzieć za co!

— Aha! — uśmiecha się na to buchalter — już wiem, ale niech pan nie myśli, żebym ja był stratny, bo jak myśmy słyszeli, że ktoś podsłuchuje, to ja potrzebowałem się z pańską żoną zakładać o czterdzieści koron, że to pan, a nie pokojówka!...

DZIAŁANIE NA ODLEGŁOŚĆ.

Radca jest ze swoją żoną
W pierwszym rzędzie na balecie
I siedzeniem swojem chudem
Niecierpliwie fotel gniecie.

I ku scenie głową kiwa
I siwego skubie wąsa,
A radczynię dyabli biorą
I z wściekłości wargi kąsa.

Bo na scenie solo tańczy
Dziewczę cudownego kształtu,
Że aż serce pana radcy
Pod tużurkiem krzyczy: „gwałtu!“

Baletniczka myśli sobie:
„Stary ten się zna na pięknie,
Ale stara w swym fotelu
Ze zazdrości chyba pęknie!“

Niech się złości, irytuje,
Czemu siadła w pierwszym rzędzie?!
Lecz, choć teraz mnie przeklina
W nocy — wdzięczną pewnie będzie!

Sprytny famulus.

Pan X., właściciel dóbr ziemskich we wschodniej Galicyi, ożeniwszy się, postanowił miodowe miesiące przepędzić w Zakopanem. Między innymi zabrał także swego służącego, 20-letniego Maćka, który ubrany w liberyę, odgrywał rolę lokaja. Chłopczysko było to dobre i poczciwe, ale niestety głupi był jak... but!...

Pan X. nie chcąc być wraz ze swoją młodą żoną — jako młoda para — przedmiotem ogólnej ciekawości, polecił Maćkowi, aby przed nikim nie zdradzał się z tem, że on, tj. pan jego, używa obecnie miodowych miesięcy.

W kilka dni jednak pobytu w Zakopanem, zauważył p. X., że wszyscy obserwują go z nadzwyczajną ciekawością, która graniczyła wprost z impertynencyą. Woła więc służącego i pyta:

— Pewnie ty, durniu jeden, musiałeś się przed kimś wygadać, że ja dopiero od kilku dni jestem po ślubie?

— Jako żywo, co nie — odpowiada Maciek — adyć przeciwnie, prose jaśnie pana, wszyćkim tu opowiadam umyślnie, co państwo jesce ślubu nie brali i ze ślub bedzie dopiro za pare miesięcy!...



PO PIERWSZYM.

— Co to znaczy dla kobiety
Noc calutka nieprzespana! —
Rozmyślała w swojem łóżku
Panna Obszturkalska zrana.

W głowie szumi, w krzyżach trzeszczy
A! niechże to porwą kaci!
Bo oficer nie daruje
Gdy kolacyę już zapłaci!

I z westchnieniem męczennicy
Przeciągnęła się jak długa,
W tem na palcach, po cichutku
Do pokoju wchodzi sługa.

— Proszę pani, bo tu przyszedł... —
Pani wierżgła gniewnie nogą
— Przyszedł?... To niech się wynosi!
Nie przyjmuje dziś nikogo!

— Lecz on mówi: — Pani wrzasła:
Niech wynosi się co prędzej!
— Proszę pani, to gospodarz,
Dzisiaj pierwszy, chce pieniędzy!

— Powiedz mu, że w łóżku leżę,
Niechże wzgląd ma na mnie biedną!
— Już mówiłam! — rzecze sługa.
Ale to mu wszystko jedno!

— Ha! — westchnęła pani na to
Ma on racyę swoją drogą!...
Niechże wejdzie, ty się wynoś
I nie wpuszczaj tu nikogo!...

Z dziedziny procesów rozwodowych.

Przed sędzią staje pani Sara Gelbloch, któraby gwałtem chciałaby wziąć rozwód ze swoim mężem, Aronem. Rabin zgodził się już na przeprowadzenie tej operacyi, ale ponieważ ślub był cywilny, więc i pan sędzia musi wydać na tym punkcie swoje *parere*.

Naturalnie sędzia pyta się pani Sary, jakie powody skłaniają ją do porzucenia męża.

— Niech pani się nie wstydzi, pani Gelbloch — mówi jej sędzia łagodnie — tylko niech pani wprost powie mi, co właściwie skłania panią do żądania rozwodu?!...

— Ny, panie sędzio! — odpowiada pani Sara — co ja sze mam wstidżycz? Niech wun sze wstydżi, ten paskidnik? Ja z niego nie moge życz, bo wun jest strasznie brudny!...

— Brudny?... — odzywa się sędzia — ale w jakiem znaczeniu? Niech-no pani Gelbloch mi to jaśniej wytłómaczy!...

— Ny! co ja mam tłumaczycz! — oburza się pani Gelbloch — ja panu sędżemu po prostu powim, jak ja mogie życz z taki gałgan, co wun ma takie brudne ręki, jak moi nogi?!...

Z bajek nie-Ezopa.

W gęstym borze krwiożerczy tygrys spotyka się z teściową.

— Kto ty jesteś? — pyta tygrysa teściowa.

— Tygrys! najokrutniejsze zwierzę pod słońcem, przed którem drży każdy człowiek! A ty kim jesteś!...

— Ja... jestem teściową!...

— Siostro! zawołał rozczulony tygrys i nierozszarpał jej wcale, lecz przeciwnie, przycisnął ją po bratersku do krwiożerczego swego łona!...

Trudne wyjście.

— Pieniędzy wam nie dam, gdyż żebrakom z zasady tak nie dopomagam, ale mogę ci pomódz w znalezieniu pracy. Czem jesteś z zawodu?

— Grabarzem!

DWA LISTY

Pana frajtra Kokodyniaka w Rudolfskasarni.

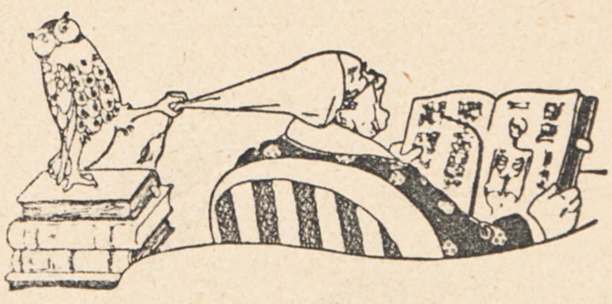
I.

Lieber Vater! Piszę do Was, że niech będzie Pochwolony! I żebyście mi przysłali ekstrapocztą dwie korony! Bo ja tu się chcę ożenić, a dziewucha zakochana—no ta, co jest za kucharkę od mojego kapitana. Ma kuferek i poduszkę, nosi majtki i pończochy, a od pana kapitana zaśparuje także trochy. Co się ale tyczy z Kaśką, to zameldujże jej tata, co się już *śniom* nie ożenię, niech se dalej boso lata! Co sie *znowuj* z dzieckiem tyczy, to ja go mieć nie chcę w mieście. Nie bedzie go Kaśka chować, to do siebie bąka weźcie! W wojsku bardzo dobre życie. *Żryć* co niema, to rzecz znana! Ale ja mam tę kucharkę od mojego kapitana. Mięsa, knedli i ziemniaków obucham się całą duszą, że ślafkamerady moje to otwierać okna muszą! To dziewucha w sam raz dla mnie. Mnie potrzeba takiej żony! Meine Vater, ja Was proszę, przyślijcie mi dwie korony, bo się żenię *śniom*, z kuferkiem, z poduszkami i *odzuwą!* Ale za to, to ją muszę do Tillesa wziąść na piwo! Niezadługo na maniebry wyrukujem już z Krakowa. Kaśce mojej zameldujcie, niech se dziecko sama chowa! No a teraz Wam się kłaniom, będę pisał co niedzieli. Vater, Muter, bądźcie zdrowi! A żeby Was dyabli wzięli!...

II.

Niechaj będzie Pochwalony! Ale z ojca dobry numer! Sakrament, bo jak się zgniewam!... Donnerweter, Scheisskerl dumer! Dwie korony miałem dostać, jak to było polecone. Czy se ociec śpasy robi? Ojciec przysłał mi koronę! To ja ojcu zapowiadam, że nie lubię takich figli. Z tej korony, rachuj ociec, było tylko siedem *krügli!* A *wirdżinia* gdzie są dla mnie? A dla panny gdzie som bułki? My i tak ten siódmy krügel to musieli pić do spółki!... A więc befel ojcu daję, że koronę chcę pojutrze, a jak vater hopów nie ma, to powiedzieć pani *mutrze!* Kapitanka wyjechała, (jest u ojców swych pod Wiedniem), pan kapitan dziś w kasynie i nie wróci aż przede dniem. Więc poszedłem do dziewuchy, (po niemiecku znaczy *mödel*), zjadłem pieczeń z ziemniakami, potem jeden, drugi knedel. Mówię ojcu, napęczniałem, bo tych knedli miałem póty!... Dla oddechu zdjąłem kabat i rozzułem oba buty. Fani garnki szorowała, ja na łóżko!... nic nie pytam!... Niech szoruje, ją się prześpię, dyć mam *przezczas*, to co mi tam! Sni mi się, że mnie ugryzła koło nosa pchła czy muszka. Budzę się: to pan kapitan w pysk mnie wali obok łóżka! Ona, kiedy go uźrała, z strachu sparła się aż o piec, a on do niej: *„Kenst den Luder?“* (to się znaczy: „ładny chłopiec!“) I znów do mnie: „Marsz! herunter!“ A ja: „Ich verśte nicht deitsche!“ A kapitan tak ze śpasu spuści na mnie swą rajtpajczę! Takie figle zaczął ze mną, bo on lubi swych rekrutów!) I wyrzucił mnie na ganek przez kabata i przez butów! Z tego ganku nie wylazłem aż dopiero samem ranem, a kucharka sakramencka ostała się z kapitanem! Wszystkom słyszał!... Rety! ludzie! Bo od ganku cienka ścianka! No, on *recht* ma, żona w Wiedniu (niby pani kapitanka). I choć to je mój kapitan, ale mówię, że cholera, ażeby się on udławił pigułkami Hofrichtera! Ale ona?!... A ja piwem jeszczem raczył podłą kuchtę! Niech mi odda za sześć krügli! Dreimal choch! O du verfluchte! Więc ja się śniom nie ożenię! Bądźcie wszyscy jak najzdrowsi! Po manebrach *sakum pakum* narukuję pewno do wsi! Napiszę Wam, to czekajcie na banhofie w samej rzecy. Niech i Kaśka także przyńdzie (a koszulę przyoblecy!)





Chytry.

Sędzia: Niech mi świadek, Eulalia Patyczkowska powie, ile lat liczyła jej matka, gdy świadek ujrzał światło dzienne?

— Dwadzieścia!

— A ile teraz liczy matka świadka!

— Sześćdziesiąt dwa!

Sędzia (do protokolanta): Proszę pisać: świadek Eulalia Patyczkowska lat czterdzieści dwa!...

Los donżuana.

Na jednym z balów w tegorocznym karnawale, który odbył się w sali resursy, między innymi znajdował się także stary hrabia X. z Litwy, znany donżuan, który podobno nie mało serduszek kobiecych widział u stóp swoich.

Hrabia wśród dam zauważył panią Z. a ujęty jej urodą i wspaniałym dekoltażem, zaczął jej nadskakiwać, co miał siły. Pani Z. z uśmiechem przyjmowała te zabiegi, aż wkońcu chcąc dociąć trochę staruszkowi, odzywa się z figlarną miną:

— O! panie hrabio, jak słyszałam, to pan był kiedyś bardzo niebezpieczny dla kobiet!...

— To prawda! — odpowiada staruszek, nie tracąc kontenansu — ale teraz, to znów kobiety są dla mnie bardzo niebezpieczne — jak mi to mój lekarz wczoraj powiedział!...

PRZYGODY PEWNEJ PODWIĄZKI.

Była sobie raz podwiązka
Pod kolankiem pewnej panny,
Patrzał na nią różnych chłopców
Wzrok łakomy, wzrok zachłanny.

Gdy jest błoto lub kurzawa
Wznosi suknię mała gąska,
Wtedy z dziwnem zaufaniem
Na świat patrzy się podwiązka.

Raz panienka do faceta
Krzyknie z gniewem i protestem:
— „Panu co do mej podwiązki
Precz odemnie! Wiesz kto jestem?!

Jak podwiązki swej broniła
Posłuchajcie tylko ludzie:
Raz zuchwalca w nos kopnęła,
Co ją ściągnąć chciał w tancbudzie.

Pilnowała jej i strzegła
Pośród różnych przygód wielu,
Aż raz — to już trza mieć pecha! —
Zapomniała jej w hotelu!...

Co komu na myśli.

Pani Adela czyta książkę, podczas gdy jej mąż studyuje swoje księgi handlowe. Naraz pani Adela zrywa się i mówi do męża:

— Słuchaj Fredku! czytam właśnie, że u dzikich wolno mężowi sprzedać żonę, jeśli mu się ona nie podoba!..

— Hm! piękny zwyczaj! — odpowiada mąż — a nie piszą tam, jak oni je sprzedają, *en gros*, czy też tak *en detail?...*

Dobra definicya małżeństwa.

Ojciec przysłuchując się rozmowie dzieci, które bawią się w małżeństwo:

— Powiedz-no mi Andziu, a czy ty wiesz, co to jest właściwie małżeństwo?

5-cio letnia Andzia: A wiem! Małżeństwo proszę taty, to znaczy, że mąż musi to zjeść, co mu zona usmazy...



— Wolałabym, abyś pan zawołał innego dorożkarza...

— A to czemu?...

— A, bo przed tygodniem jeździłam tą samą dorożką z kuzynem, kilka razy dookoła miasta i potem gałgan dorożkarz kazał sobie zapłacić za sprężyny w siedzeniu, które miały mu podobno popękać podczas jazdy...



Więc raz przecie mnie wysłuchaj!
Lub przynajmniej daj nadzieję!
—Gdy pan figlów nie przestanie
Zaraz panu łeb obleję!...

Tak broniła ogrodniczka,
Zagrożoną swoją cnotę,
Przed paniczem, który zdradzał
Zdrożną względem niej ochotę.

Ale kiedy byli w mieście,
Jak mówiono mi — nad ranem
Oblewali w seperatce,
Zgodę, ale już — szampanem!



Co?... On idzie z mą rywalką?!
Mam cię teraz podły zbiegu!...
Tak kokota zawołała,
Grzejąc się na morskim brzegu.

— Mniejsza o to — pomyślała,
Patrząc na nich się z ukosa,
Wszak go sama odrzuciłam,
Tak jak rzucam — papierosa!

Ja rzuciłam — tyś podniosła!
I nadajesz sobie tony!
Nie ciesz-że się nim zawczasu,
To — papieros wypalony!



— Czego się pani lęka? Wszystko wkrótce wyschnie i z całego tego deszczu, ani znaku nie pozostanie!...

— Tak... z deszczu, to ja wiem, że następstw nie będzie, ale ja się boję głównie tylko tego suszenia...



— I co ty powiesz Stefa na to, że twój baron się żeni?

— A no, nic! Rogaczem, to on był zawsze, ale teraz to nawet nie wiem, gdzie on na tej swojej łysinie drugą parę rogów pomieści?...



Raz w pływalni rozmawiały
Panny o nauczycielu,
Chwaląc mistrza jednogłośnie,
Dla produkcyi trudnych wielu.

Spojrz na niego! — rzecze pierwsza
Niesłychana rzecz zaiste!
Jak muskuły wyrobione,
Jakie ruchy ma sprężyste!

Znam go dobrze! — mówi druga,
Znam w niejednej już przygodzie!
On wyprawia te podskoki,
Ach! nietylko gdy jest w wodzie!!



— Ja się dziwię tylko, że mąż pani, taki zwykle zazdrosny, nie robi pani z powodu mojego asystowania żadnych wyrzutów? Czyżby mi tak ufał?...

— To nie, ale widzi pan — o ile mnie się zdaje — to pańska żona przekonała go, że może być zupełnie spokojny!...



Pani! Zechciej mnie wysłuchać!
Szeptał słodko człowiek młody
Swojem „tak“ mnie uszczęśliwić
Tu — na łanie tej przyrody!

Jam dotychczas się kołysał
Marzeniami cudownemi,
Powiedz „kocham“ a tem słowem
Dasz mi poznać raj na ziemi!

A dziewica mu przerywa.
— „Tak, to rzeczy są przyjemne,
Lecz ja dla twej przyjemności,
Nowej sukni mej nie zemnę!



Ferdek Eleuteryk.

Godajom różne filozofy, że nima złygo, coby na dobre nie wyszło, czyli że kumeta była potrzebno, bo miała miasto wypucować swym ogunem. Tymczasem pokozało sie, że po kumecie jest ino klapa, bo woda w Smierdzoncyj i Cholerzynie dokumentnie wyschnena i krakoski wodociong przestoł sikać! Lament i żol w całym wielgim Krakowie, w którym dzięki Leuteryji coraz wiencyj pijom wody, a tu jij akurat brakuje. Od dwóch tygodni żodno brzana sie nie kompała, ani nimogła wyprać swych kiecek, bo wodociong zamknienty, a kontrolory chodzom od chałupy do chałupy i oglondajom kuždemu kurek, czy przypadkiem nie cieknie!

Chodziułem do majestrotu, żeby sie dowiedzieć, loczygo nima wody, ale mi nic nie powiedzieli, bo kumisyjo wybiro sie dopiro na Bilany, tam na mijscu zrobi wizum receptum, a potem ogłosi urzyndowy komunikant, z którygo kuždy sie dowi, kiedy bedzie wilgotność i jako jest przyczyna, że jij dotond nima. Obiecowali, że świenty Medard siknie z pewnościom, ale tymczasem Puzyna, który w niebie mo winkszy for, jak nawet som pon Lyo, pedzioł: weto! i ani słychać o dyszczu. Spadło wprowdzie kilka kroplów w som dziń świentygo Medarda, ale to ino lotygo, żeby nie było kurzu na ulicy, bo na drugi dziń mioł być ślub ksińcia Radziwiłła, z banderyjom i jenszymi szopami.

W obserwatoryjum astronomicznym oświadczyli mi, że lotygo nima dyszczu, bo jest pogoda, a u nos zwykle wtedy, kiedy jest ładnie, to dyszcz nie pado. Ponieważ zaś bez dyszczu wysycha nasza piekna Wisła, wienc i do źródeł wodociongowych nie cieknie z nij woda. Jeden uczony astronom przypuszczoł nawet, że to może znowu jaka glista zatkała rułę wodociongowom, jo se ta jednak myśle, że chyba nie, bo tako glista musiałaby być przynajmnij tako grubo, jak nieprzymirzajoncy pon Staszczyk. Uczułem sie swoigo czasu teologiji u świentyj Barbary, ale o takij gliście nie słyszołem od żodnygo prefesura.

Godali tyż, że lotygo nima wody, bo jij pon Nowotny zadużo na ulice wysikoł, ale to tyż nieprowda, bo oni dość oszczyndnie poliwajom ulice, som bowiem bojoncy, aby od kaminiców nie zawilgły.

Kto mo racyjom, nie wiem, ale to jest pewne, że w Krakowie nima wody! Skorzystały z tygo golibyki i męczybuły i podrożyli minso i piczywo. Siapsia jeden nic sobie z tygo nie robi i doliwo wiencyj wody do gorzały, ale tyż koże sobie i wiencyj płacić. Golibrody nie obmywajom już wodom gemby swym pacyjentom, ale plujom im na brode, a potym pocirajom mydłem, bo powiadajom: woda jest teroz bardzo drogo!

Nawet lo samobójców nadeszły kretyczne czasy. Wody we Wiśle i Rudawie jest tak mało, że nawet kopyt nie wymoczysz, a cóż dopiro mówić, że miało by się zrobić w nij nurka. To tyż ino hrabia abo jenszy ksionże mógby se pozwolić na śmierć przez utopinie. Naprzód musiołby se kozać naloć pełnom wanne wody, a potym do nij skoczyć, ale nawet na hrabiego to śpas za kosztowny, bo majestrot po śmierci pociongnołby go do odpowiedzialności za marnowanie wody.

Spotkołem sie wczora z jednym ekselencyjom w piwnicy pod sukiennicami, gdzie jest napis „lo menżczyzn“ i pytam go, co myśli o braku wody. Odpowiedzioł, że mu sie zdaje, że tu troche czuć. — Nie o to mi się rozłazi! — jo mu na to — chciołem wiedzieć, jak sie ekselencyja w ogólności zapatruje na ten jenteres?

— Mój drogi Ferdusiu! Powiedziałbym ci, ale mi musisz dać słowo, że ani pary ze siebie nie puścisz!

— Niby z gemby? — zapytołem.

— No, naturalnie!

— Ależ, jo tamtendy nigdy nie dmuchom!

W takim razie słuchaj! Jeśli nie będzie dłuższy czas wody, nastanom różne choroby, a rzond zakaże tłumnego zjazdu na obchód grunwaldzki, a widzisz, o to nam chodzi, bo nie chcielibyśmy drażnić Niemców...

— Ekselencyjo! — jo mu na to — ale i z waryjatami bedzie wtedy źle, bo nie bedzie im z czygo robić zimnych okładów na głowe!

— Tak! Tak! Mosz racyjom! — i wydar takim galopem do góry, jak gudłaj, kiedy zobaczy psa za płotem, a zawiasy mioł w kolanach już bardzo krzypionce.

Tak to jedni cieszom sie z braku wody, inni na nigo narzykajom, a najbardzij członkowie od Leuteryi, bo nimajom co pić, a miszkańcy Krowodrzy z onygo powodu chcom pono wybrać do Rady mijskij ich pryzesa, który obiecoł, że jak ino dostanie mandat, to bendzie sie starajoncy, aby Kraków był we wode obfitujoncy. Pomyślołem, że mo on racyjom i jo tyż pedziołem to samo na zgromadzyniu przedwyborczym w olejandrach do wszyćkich andrusów. Jak ino usłyszeli o wodzie, tako ich cholera ogarnena, jak szewca w blaumontag:

— To ty skisiu sakramencki — wołali — chcesz nos wodom czynstować przed wyborami, a nie gorzałom? To ty tak chorobo szanujesz nasze najświntsze tradycye narodowe! Oho! nie wykręcisz sie sianem! Abo kiełbasa wyborcza i silna z mocnom, abo kwita z mandatu!

— O źle! — pomyślołem — gotowi dyabli wziąść mandat, którygo byłem tak pewny... Ale nic sobie z tygo nie robioncy, ponieważ jezdem zwolennikiem czystych wyborów, gwizdnąłem na olijandry, niech se wybirajom, kogo chcom i poknajołem na Dembniki, aby choć tam wyliźć z uryny wyborczyj. Kozołem zaroz nadrukować pljakatów, że nie rezygnuje ze stolca radzieckiego, ze wzglendu na wielgie zasługi, których właściwie jeszcze nie położułem, ale pewnikiem już nie długo położe i wysłałem Mańke, która ma tam dużo znajomych facetów, żeby za mnom agitowała. Obiecała połowe wyborców wziąść na siebie, drugom połowe oddała swyj przyrodnij siostrze, która w wolnych od zajincia chwilach chodzi na robote do cygarfabryki.

Tymczasem jo ułożułem sobie galantom przemowe, którom miołem wygłosić na zgromadzyniu kaminiczników:

— Moi panowie! ponieważ wiem, że kuždy kaminicznik jest bidok, jeźli weńde do Rady mijskij, bede zaroz jak pajonk snuć sić, aby czynsze podwyższono, a podatki zmnijszono, postawie tyż wniosek aby wszyćkie podatki opłacały ljokatory.

Do wyborców-ljokatorów miołem gotowom drugom owacyjom:

— Panowie! Jo wiem, co to za cholery som te kaminiczniki, bo i ja jezdem ljokatorem, choć sie wom przyznom, że już dwa roki czynszu nie płace, ale gospodorz boi sie wylać mnie na ulice, żebym go w gazyty nie puściuł. Panowie! jeśli oddacie mi swe głosy, to wom przysingom, że kuždygo kaminicznika tak bede kunirowoł, aż mu sie sprzykszy życie... Czynsze muszom być znižone...

Ale jo mom takigo pecha, jak pon Tomkowic ze swymi prejektami. Pomyliły mi sie kartki, mowe do kaminiczników przeczytołem ljokatorom i chcieli mi nogi powyrywać, a owacyjom do ljokatorów wygłosiłem kaminicznikom! Dwóch trafił zaroz ślag z irytacyi, a reszta wyrzuciła mnie na pysk na ulice!

No i nie bede rajcom mijskim, choć mi to wszyscy obiecowali! Ale kuždy ma mola albo pajonka, co go gryzie, a tym moim molem to jest ten pech, który mnie z przyrodzynio prześladuje. Takigo to pecha familijnego miała i moja nieboszczka matka, bo urodziułem sie akurat wtedy, kiedy sie zupełnie nie spodziewała i skróś tygo musiała odłożyć swój ślub, jak to mówiom filozofy, do greckigo kalendarza!...

Źle, źle i jeszcze raz źle, a jak nie bedziemy mieć rychło wody, to może być i jeszcze gorzyj!

Z MAŁEJ PARAFII.

Wojtek chce się żenić z Kaśką,
Kaśka mu się nie przeciwi,
No, i jak się zapowiada,
Będą pewnie żyć szczęśliwi.

Poszedł Wojtek na plebanię,
Opowiedzieć swoją sprawę —
Zastał właśnie Jegomości
Jak se pił na ganku kawę.

— Pochwalony! — Na wiek wieków! —
— Cóż mi powiesz mój Wojciechu?
Kiej się wstydom!... Mów bez trwogi!
Nie jest żaden człek bez grzechu!

— Kiej nie o grzech się rozchodzi!
— A więc o co? dalej!... Mów no!
— Ano, że ja chcę się żenić
Z onom Kaśką Wytłukówną!

— Przyjdź z nią — rzekł ksiądz, wylizując
Z szklanki kawy swej ostatki —
Pouczę ją obowiązków
Przyszłej żony, przyszłej matki!...

No rozumiesz?!... — Ma się wiedzieć!
Dyć nie mówią ksiądz z niemiecka!..
Ino, czy ma przyprowadzić
Także z sobą te trzy dziecka?!...

Na linii A-B

— No mała! Decyduj się i siadaj zemną do dorożki!

— Dobrze! Muszę jednak popatrzeć pierwej, czy to przypadkiem ojciec mój nie siedzi na koźle!

Na plantacyach.

— Ty, Mańka, a kto jest ojcem twego dziecka?

— Jeszcze nie wiem! Dopiero jutro jest rozprawa!

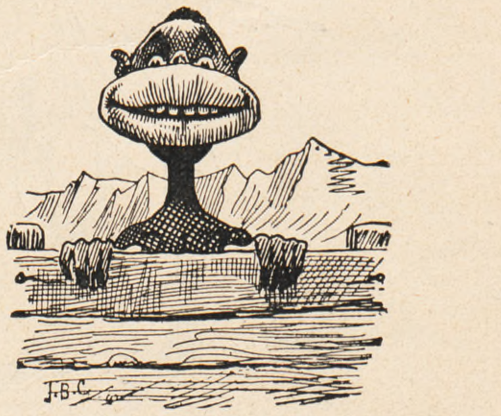
Zmiana.

— Gdzież się obraca ta piękna guwernantka która chodziła do niedawna z tymi dziećmi?

— O!... ona prowadzi teraz samodzielne życie...

— Zapewne nie mogła wyżyć z gaży, jaką jej płaciłeś?

— Prawdopodobnie, bo teraz kosztuje mnie daleko więcej!





Abecadło dla zakochanych.

Akuszerka — przyjaciółka bociana.
Alimenta — smutne skutki wesołych chwil.
Bocian — bardzo sympatyczny ptaszek. Żonaci wzdychają nieraz do niego, panny boją się go bardziej niż kominiarza.
Cymbał — patrz zakochany.
Cnota — coś, co się u nas zna tylko z bajki o zaczarowanej królewnie, ale w co nawet sześcioletnie dziecko nie wierzy.
Dureń — patrz zakochany.
Dzieci — kupony, które małżeństwo może corocznie obcinać od obligacyi wzajemnej miłości.
Daktyloskopia — sposób rozpoznawania z plam na staniku żony, córki i służącej, kto w czasie twej nieobecności był u ciebie w gościnie.
Emeryt — patrz wałach.
Facetka — coś bardzo przyjemnego.
Fałszywy krok — określenie na „puszczanie się“ dam z arystokracyi.
Głupiec — patrz zakochany.
Heród-baba — pani domu, która potrafi męża utrzymać w należytem posłuszeństwie.
Idyota — patrz zakochany.
Indyk — piękny wzór statecznych a długotrwałych uczuć.
Język — rzecz, bez której w młodych latach obejdziesz się zupełnie.
Kawaler — potępieniec w pojęciu starych panien, mądry człowiek, którego każdy zazdrości, w zrozumieniu żonatych.
Kobieta — to, na co najbardziej zawsze narzekamy, a za czem każdy najpilniej szuka.
Lata — to, czego kobieta nie potrafi nigdy u siebie zliczyć.
Lafirynda — moneta wyszła już z obiegu.
Miłość — uczucie bardzo piękne, będące jednak niejednokrotnie przedmiotem wolnego przemysłu.
Moralność — esencya tych rad i kazań, które mamy i ciocie pchają w uszy młodym pannom.
Niewinność — pierwsze dwa tygodnie w życiu każdej niewiasty.
Nieprawego łoża: określenie dla dzieci, których rodzice tak byli zakochani w sobie, iż zapomnieli wziąć ślubu.
Otomana — niezbędny sprzęt w mieszkaniu każdego kawalera.
Poste restante — państwowa pomoc dla zakochanych.
Przyjaciel domu — ten, który się cieszy i korzysta z cudzego nieszczęścia.
Pantofel — mąż, jeśli jest tak posłusznym, jak żona wymaga.
Puszczanie się — określenie na tak zwany fałszywy krok kobiet z niższych sfer.
Rogi — piękna ozdoba mężowskiego czoła.
Roboty ręczne kobiece — sińce na twarzy męża, tak zwanego pana domu.
Suknie — z punktu widzenia zakochanej rzecz konieczna, wedle zapatrywania wielbiciela, tego rodzaju, iż można się zupełnie bez niej obejść.
Teściowa — postrach wielu mężów, zarazem przyczyna, dla której mamy dotąd tyle starych panien.
Trójkąt małżeński — kombinacya bardzo dla męża wygodna.
Tabes — nagroda na starość za gorące uczucia młodości.
Utrzymanie — nagroda za oddanie się zupełne.
Wałach — patrz emeryt.
Zaręczyny — prolog tragedyi małżeńskiej.
Zakochany — patrz urzędowe nazwy: cymbał, dureń, głupiec, idyota.
Żona — mebel, bez którego każdy łatwo może się obejść.

SKUTKI GUZDRALSTWA.

Panna Fifi jest z tych rzędu,
Co w dzień śpią, a żyją nocą.
Damy takie, jak wiadomo
O nic głowy nie kłopocą.

Fifi ma z swych „oszczędności“
Koronówek do tysiąca
Ma mieszkanie z trzech pokojów
A w mieszkaniu — jest służąca.

Lecz ma wadę — może małą
Zdaniem innych, lecz co do mnie
Ja potępiam to, że Fifi
Lubi guzdrać się ogromnie!

Raz przyjechał facet do niej,
Jak sam mówił z dość daleka. —
Panna Fifi — nieubrana
Prosi gościa: niech poczeka!

Więc gość został w saloniku —
(Gość przystojny i z gotówką)
I czekając na panienkę
Zaczął flircik z pokojówką.

Pokojówka się wyrwała
(Poszarpana bluzka na niej) —
„Temu panu strasznie pilno!
Wciąż mnie szczypie, proszę pani!“

— Zaraz, zaraz! — rzecze Fifi,
Lecz znów widzi głupią gąskę —
„Spieszy mu się, proszę pani
Już rozerwał mi podwiązkę!“

Potem — cisza w saloniku
I milczenie wprost złowieszcze — —
Pokojówka siedzi z gościem,
Pani się — ubiera jeszcze!

— No! już idę! — rzekła — tylko
Zapnę haftkę!... już ostatnia! —
— Już nie trzeba! — krzyknął facet
I po cichu się ulatnia!...

Pani piekła narobiła,
Wpadła na nią na kształt gromu,
I „za brudną konkurencyę“
Wyrzuciła sługę z domu.

Lecz niesłusznie, bo tosamo
Będzie robić także inna —
Panna Fifi przez guzdralstwo
W tym wypadku — sama winna!...

Wystawa łowiecka.

Państwo radcostwo Safandulscy pędzili bardzo spokojny i szczęśliwy żywot, mimo iż dzieliła ich pokaźna różnica wieku, pan radca starszy był bowiem od swej żonusi tylko o trzydzieści pięć latek... Aby młodej żonie nie przykrzyło się, starał się zawsze, aby otaczał ją rój młodzieży, a już najczęstszym gościem w ich domu, który pani radczyni na krok prawie nie odstępował, był auskultant pana radcy, pan Podskakiewicz. Pani radczyni odnosiła się do młodego człowieka również bardzo po przyjacielsku i z czasem połączyła ich nić wspólnej sympatyi, o której mówiło całe miasto, o której jednak stary mąż nie wiedział.

— Pani dobrodziejko! — rzekł pewnego razu młodzian — warto, abyśmy się wybrali, ale tylko we dwójkę do Wiednia, na wystawę łowiecką!

— A to po co? — pyta pani.

— Chciałbym dla pana radcy kupić tam parę pięknych rogów!

— I nie szkoda to panu na to pieniędzy? Poco jeździć do Wiednia, kiedy o rogi dla niego możemy się i w Krakowie postarać!...

— Może pani ma i racyę! odparł pan Karol po namyśle.





Przysięga.

Icek Eierstangel, kupiec zbożowy, był bardzo porządnym, uczciwym i bogobojnym człowiekiem, ale miał jedną wielką wadę: lubiał się nie tylko napijać, ale nawet zapijać. Prosiła go żona, prosiły go dzieci, żeby się tak nie puszczał, ale wszystko nadarmo. Eierstangel pił jak szewc, i to z dnia na dzień coraz więcej.

Żona, nie mogąc sobie dać z nim rady, poszła na skargę do rabina i prosiła, aby zmusił Eierstangla do złożenia przysięgi, że więcej pić nie będzie.

— Wun jest takie pobożne — mówiła Eierstanglowa — co ja wim, że jak wun sze prziszęgni, to wun już w usta więcyj wódki nie weźmi!...

Rebbe zawezwał Eierstangla do siebie, palnął mu kazanie o zgubnych skutkach alkoholu i kazał mu złożyć przysięgę na wstrzemięźliwość.

Ickowi było to przykro, ale, że jako prawowierny żyd musiał słuchać rabina, złożył więc przysięgę na wstrzemięźliwość.

Ale jak każdemu alkoholikowi, któremu się odrazu wytrąca kieliszek z ręki, zamiast go powoli przyzwyczajać do wstrzemięźliwości, tak i Ickowi nie wyszło to na zdrowie.

Począł stękać, kwękać, chorować, a lekarze zawezwani orzekli, że bądź co bądź Icek musi używać wódki, choćby w drobnych ilościach.

Lecz Eierstangel, pamiętny złożonej przysięgi, za nic w świecie nie chciał wziąć do ust alkoholu i coraz bardziej zapadał na zdrowiu, tak, że wkońcu jego żona, przestraszona, pobiegła do rabina.

Rabin, dowiedziawszy się, o co chodzi, sam zjawił się u łoża chorego.

— Ny, Icele, ja czebi co powim! — rzekł rebe uroczyście — ja czebi będe poczebował uwolnicz i uwolniam z te twoje przyszęgi! Ty pij sobie z wódkiem!...

— *Ech kann nyszt!... Rebbeleben! Ech kann nyszt!* — jęknął chory — ja prziszęgałem i ja te prziszęgę dotrzimam!...

Darmo rebbe tłumaczył Eierstanglowi, że go zwalnia od przysięgi. Chory, a pobożny żyd nawet słyszeć o tem nie chciał.

— Ny, Icele, to ja czebi co powim — rzekł mądry rabin — ti prziszęgałesz, co sam picz nie będziesz, ale jak tobie kto gwałtem do giemby wleje wódki, to ty prziszęgi nie złomisz!... Niech czebi d w ó c h t r z y m a, a znowu j e d e n n i e c h c z e b i l e j e z wódkiem w gardło, to ti bendzisz miał spokojne sumieni — co?...

— Same prawde, *Rebbeleben!...*

— Ny, to ti sze zgadzasz, coby czi to zrobiali gwałtym?...

— *Sy git, Rebbeleben*, ale pod jednym warunkiem!...

— *Waes?!*

— *Ny, Rebbeleben!* Niech to już bedżi z gwałtym, ale niech mi j e d y n t r z y m a, a wódki do gardło, to niech mi już d w a l e j ą!...

W dzisiejszych czasach.

Pan Iks idzie wieczorem ze swoją serdeczną przyjaciółką panią U. przez planty i zauważa, że jakiś facet jak cień podąża za nimi.

— Słuchaj-no Dziuniu! — mówi pan Iks do towarzyszki — oglądnij-no się, kto to nas tak prześladuje!...

Pani U. odwraca się i po chwili mówi:

— Wiesz! nie jestem pewna, ale zdaje mi się, że to mój mąż, a nie kto inny!..

— Chwała Bogu! — oddycha swobodnie pan Iks — a ja byłem przekonany, że to któryś z moich wierzycieli!..

Autentyczne facecye.

Pewien przeżyty już jegomość, ulegając namowom przyjaciół postanowił nałożyć na się okowy hymenu i pojął w małżeństwo młodą, ale ubogą panienkę. Jak zwykle w podobnych wypadkach się dzieje, miał tremę przed pierwszą nocą poślubną, dzięki Bogu poszło jednak wszystko jako tako. Dumny ze siebie, pyta małżonek swej młodej połowicy.

— No i cóż? Jesteś ze mnie zadowolona?

— Ach tak! — odpowiada nieśmiało — czuję się bardzo szczęśliwą! Ale przestraszyłeś mnie ogromnie....

Ucałowali się serdecznie i zasnęli snem sprawiedliwych, ona szczęśliwa, że ziściły się jej dziewicze marzenia, on, że się nie zbłaźnił w decydującej chwili. Po niejakim czasie czuje małżonek, że ktoś go szarpie za rękę. Otwiera oczy, ciemność nie pozwala nic widzieć.

— Co takiego? — pyta zaspany.

— Mężusiu — szepce do niego żona, całując go serdecznie — może przestraszyłbyś mnie jeszcze raz!...

Po chwili rozległ się huk i trzask rozbitego szkła i porcelany. To małżonek, nie mogąc w inny sposób, przestraszył żonę przewracając na ziemię szafkę nocną wraz z jej zawartością...

Na ulicy zaczepia facetkę śpieszącą się na randez-vous żebrak i prosi o wsparcie.

— Zlituj się nademną pani! Nieraz nie wiem, gdzie będę spać w nocy!

— A cóż, czy wy myślicie człowieku, że ja wiem, także zawsze, gdzie noc spędzę? — odpowiada zagadnięta.

Sielanki.

Do inspektora szkolnego przy starostwie w pewnem miasteczku, galicyjskiem, zgłosił się nauczyciel ludowy z prośbą o zapomogę. Pan inspektor wysłuchał prośby, pokiwał jednak tylko głową i zauważył:

— Mój panie kochany! Jak widzę, nie wiedzie się panu znów tak źle, jak powiadasz! Widziałem pana przed rokiem, byłeś chudy rzeczywiście, teraz jesteś przynajmniej trzy razy grubszy...

— Tak panie inspektorze dobrodzieju! Ale to nie moja wina. Pan dziedzic we wsi, gdzie jestem nauczycielem, wynalazł proszek na tuczenie nierogacizny i na mnie przez cały rok robił próby!

— Jeśli tak, to otrzymasz pan zapomogę, gdyż przyczyniłeś się do podniesienia krajowego dobrobytu! — zakonkludował pan inspektor.

W pewnem miasteczku był policyant miejski zarazem i oglądaczem bydła. Podwójny ten autonomiczny dostojnik, komisyonował pewnego razu jako oglądacz u pewnego gospodarza. Po ukończeniu czynności urzędowej pyta go interesowany, wiele ma zapłacić kosztów komisyjnych i do czyich rąk się je składa.

— Zapłacicie policyantowi! — odparł pan oglądacz z powagą — to należy do jego urzędowania!

To powiedziawszy wyszedł i skierował swe kroki ku urzędowi gminnemu, gdzie czapkę cywilną zamienił na uniformową i po chwili powrócił już jako policyant na poprzednie miejsce, aby zainkasować należytość komisyjną dla pana oglądacza.

Dobrze się składa.

— Ach, jak to się doskonale składa! Wczoraj mój mąż wstąpił do kartelu cukrowego, a dziś właśnie mam mu zwiastować *słodką* tajemnicę!





KOBIETA — A KSIĄŻKA.

— Dla mnie jest kobieta, niby
Książka piękna, a nieznana,
Gdy ją wieczór czytać zacznę
To nie skończę, aż gdzieś zrana!

Takie było poetyczne
Porównanie entuzyasty,
Na to zaś mu odrzekł cynik,
Który lepiej znał niewiasty:

— Ja, na książce której nie znam
Mogę zwieść się najfatalniej, —
A więc wolę już czytane
Książki brać — z wypożyczalni!

— Lecz, gdy głupie w niej przypiski,
Niechęć się nie budzi w tobie? —
— Nie! bynajmniej! — odparł cynik —
To i ja przypisek robię!...

Mądre dziecko.

Mama: Dlaczego ty Jasiu nazywasz zawsze pana rotmistrza dziadziem?

Jaś: A bo on przecież mówi do mamusi: kochane dziecko!

Między artystami.

— Bardzo cię przepraszam, mój Adolfie, za zawód, ale w tym tygodniu jestem bardzo zajęta... Wyszłam właśnie wczoraj za mąż za tego staruszka. Spodziewam się jednak, że stosunki tak się ułożą, iż już w przyszłym tygodniu będziemy mogli spotykać się znowu bez przeszkody!...

Dobra i salidarna firma.

Bardzo piękna modniareczka odnosi do pana radcy X., znanego bałamuta, kapelusz, który tenże zamówił dla swej żony. Pan radca bardzo się ucieszył spostrzegłszy szykowną panienkę i szczypiąc ją w policzek powiada:

— Dziękuję ci, mój aniołeczku, żeś się fatygowała! Proszę wejść do środka, niema nikogo! Żona wyszła na godzinkę z domu, zapewne więc wróci dopiero wieczorem... będzie panienka może łaskawą poczekać na nią! A dalibóg nie będziemy się nudzić...

— Przepraszam bardzo, ale ja nie mogę! W takich wypadkach przychodzi zwykle nasza pani sama!

Drobiazgi, jednak wartościowe.

— *Upadłe* kobiety *stoją* często najlepiej.

— Dla niejednej kobiety *utrata* dobrej sławy jest dopiero właściwym *zyskiem*.

— Jak *silnymi* byliby mężczyzni, gdyby nie było na świecie *słabnej* płci!

— Wiele, bardzo przeszkód (nota bene w miłości) może ominąć członek klubu jazdy panów, jeśli ma naturalnie pieniądze.

— Zakazane świeczki są zazwyczaj najbardziej uczęszczane.

— Bądź zawsze dyskretnym i nie zdradź nigdy kobiety, z którą utrzymywałeś stosunek, szczególniej przed jej mężem.

— Jest wstrętną rzeczą igrać z uczuciami kobiety. Stateczny człowiek robi wszystko na seryo.

— Jeśli żona w późniejszych latach pożycia *coś ci zarzuca*, możesz to jeszcze znieść, jeśli jednak *coś za tobą rzuca*, staraj się o rozwód.

— Miłość jest słabością, która zawsze źle się kończy — zdradą lub małżeństwem.

— Ktoś tam raz powiedział, że małżeństwo da się porównać z mnożeniem — ja sądzę, że jest tu więcej podobieństwa z regułą *trzech!*

— Jeśli dziewica musi złamać serce jednemu z swych wielbicieli, stara się zwykle uszczęśliwić przynajmniej ze dwóch innych.

— Dla mężczyzn jest miłość sztuką, dla kobiet rzemiosłem.

— Dobra sława jest jedynym przedmiotem, o którego stracie nie donosi się policyi.

— Restauracya w myśl swego znaczenia służy do tego, aby ludzi wzmacniać, iluż to jednak niestety straciło, tu już zdrowie!

— Niejedna płocha niewiasta, cieszy się, gdy zadłużony kochanek obiecuje jej ożenienie się z inną.

— Kobiety wybaczają mężczyznom bezczelność tylko wówczas, jeśli popełnili ją na seryo.

— Nie spędzaj nocy poza domem, jeśli w domu są przystojne panienki.

— Dobroczynną jest potęga ognia! rzekł do siebie pan Teitelbaum, gdy mu wypłacano premię asekuracyjną za spalony dom.

Nowy przyjaciel domu.

Pani Marya przyjmuje po raz pierwszy u siebie pana Karola, o którym sądzi prawie na pewne, że zajmie miejsce przyjaciela domu, które właśnie wakowało. Pan domu odszedł tymczasem do swego pokoju, a po dobrej chwili doszło rozmawiającą czule parę głośne chrapanie męża...

— Ot! widzisz pan! — rzecze młoda mężatka z bólem w głosie — takie to moje szczęście! Ledwie się położył — już chrapie!

— O! pani dobrodziejko! — odpowiada na to facet, przyciskając ją silnie do serca — słyszałem o mężu pani, że jest bardzo gościnny, ale to, co obecnie widzę, przechodzi nawet moje najśmielsze marzenia!...

To ciekawe!

Profesor: Odkąd mój asystent spędza u nas urlop, uważam, jesteś jakaś zmieniona i znużona! Przyznam się, że mnie to ogromnie dziwi!

Żona: Ależ, mój drogi! Przyznać musisz, że gospodyni domu ma wobec gości pewne obowiązki, które ją wyczerpują, a do których ja nie jestem przyzwyczajona, gdyż przy twym boku nie miałam ich dotąd sposobności poznać...

Właściciel i wydawca: Stanisław Lipiński. Za redakcyę odpowiedzialny: Stefan Karczmarski. Drukiem D. E. Friedleina w Krakowie.



— Proszę panienki, jest ten dżokej, co to wczoraj na wyścigach przyszedł pierwszy...
— Dobrze, ale czego się śmiejesz?
— A, bo tutaj przychodzi dopiero siódmy...